

PETER BENDER
Berlin

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE – WCZORAJ I DZIŚ

Polacy i Niemcy należą do tych narodów, których wzajemne relacje można zrozumieć tylko wówczas, jeśli odwołamy się do historii. Wprawdzie istnieją naturalne różnice w sferze wpływów politycznych, interesów narodowych i mentalności, jednakże dopiero uświadomienie sobie balastu przeszłości uzmysławia nam i pozwala zrozumieć trudności, z jakimi w ramach pojednania zmagają się obecnie oba te narody. Sukcesem zatem określić można to, co pomimo tych trudności udało się wspólnie osiągnąć. Nawet obecnie, po upływie 65 lat od niemieckiej agresji na Polskę, tak ważna jest pamięć, wspomnienie o tych ogromnych, często bezprecedensowych przeszkodach, jakie pojawiły się na drodze zbliżenia między Polakami a Niemcami.

1. Niemiecka okupacja Polski w latach 1939-1944 [1945 – przyp. tłum.] była najgorszym doświadczeniem, z jakim kiedykolwiek w swej historii kraj ten miał do czynienia. Sześć milionów obywateli polskich, zarówno Żydów, jak i Polaków, nie przeżyło tego okresu. Większość z nich, czyli około 90%, to nie bezpośrednie ofiary wojny, lecz odgórnje przygotowanego planu wyćpienia społeczeństwa polskiego: Polska nie miała być ujarzmiona, lecz ostatecznie zniknąć jako państwo z politycznej mapy świata. Dla większości obywateli polskich gorszą zgorą niż mord i systematyczne wyniszczenie było upokorzenie, jakie niemiecki „naród panów” codziennie serwował słowiańskim „podludziom”. Doznane wówczas upokorzenie nadal żyje w pamięci młodego pokolenia Polaków, aczkolwiek zna ono je jedynie z przekazów historycznych.

2. Blisko 9 mln Niemców zostało pozbawionych kraju rodzinnego na terenach niemieckich prowincji wschodnich, w tym również i w Polsce, znaczna część z nich straciła też życie podczas ucieczki przed nadciągającą ze wschodu armią radziecką. Nieco później, mocą prawnej decyzji państw zwycięskiej koalicji, miliony Niemców zmuszonych zostało do opuszczenia kraju swych rodziców. Wielu z nich do końca lat 50. musiało żyć w obozach dla uchodźców, ich szarą codzienność stanowiło bezrobocie i brak jakichkolwiek perspektyw na lepsze jutro. Również i w tym wypadku pamięć o strasznych przeżyciach przetrwała do następnych pokoleń.

3. Nowa granica na Odrze i Nysie Łużyckiej urosła do rangi muru politycznego, który przez ponad dwadzieścia lat skutecznie blokował niemalże wszystkie,

z wyjątkiem gospodarczych, relacje między Bonn a Warszawą, a przez następne dwie dekady w znaczny sposób stosunki te utrudniał. Po obydwu stronach dominowały silne emocje wewnętrzne. Niemcy jako państwo utraciły blisko 1/4 swego terytorium i tym samym dobiegła końca 700-letnia historia niemieckiej obecności w Europie Wschodniej. Ludność niemiecka znalazła się ponownie w granicach, w jakich żyli jej przodkowie w średniowieczu.

To, co dla Niemców stanowiło jedynie problem narodowy, dla społeczeństwa polskiego stało się sprawą egzystencji narodowej. W pierwszej kolejności dotyczyło to milionów Polaków, którzy w ramach tak zwanej repatriacji musieli opuścić polskie ziemie wschodnie i osiedleni zostali na byłych niemieckich terenach wschodnich. Dla wszystkich Polaków hasłem wywoławczym stało się pojęcie jedności narodowej, bowiem naród ten na przestrzeni ostatnich dwustu lat był czterokrotnie dzielony, znajdował się pod obcym panowaniem, był ujarzmiany i uciskany, często traktowany z pogardą jako małowartościowy, uznawany za naród niezdolny do istnienia i samodzielnego kształtowania własnej państwowości, a ostatecznie zagrożony nawet całkowitym wytepieniem lub zniewoleniem. Taki naród zabiegał o gwarancję dla własnej egzystencji, którą między innymi zapewniać miała nienaruszalność jego granic państwowych.

Granice te trzykrotnie uznawały rządy obydwu państw niemieckich. W 1950 r. jako pierwsza uznała je Niemiecka Republika Demokratyczna, jednakże fakt ten traktowany był głównie jako akt wymuszony przez Stalina, nie stanowił dla Polaków pełnej gwarancji, stąd też domagali się potwierdzenia i uznania granic również przez to drugie, silniejsze państwo niemieckie, czyli Republikę Federalną Niemiec. Kanclerz zachodnioniemiecki Willy Brandt uczynił to w 1970 r. w ramach podpisanego wówczas traktatu polsko-niemieckiego, wyrażając to jednocześnie następującymi słowami: „Mój rząd akceptuje wyroki historii”.

Sprawa granic została tym samym rozstrzygnięta, jednakże polityczna taktyka partyjna większości CDU/CSU podtrzymywała problem granic przez następne dwadzieścia lat. Politycy chadeccy nadal reprezentowali pogląd, że zawarte porozumienie z Polską wprawdzie zobowiązuje Republikę Federalną Niemiec do respektowania granic, jednakże tereny wschodnie tak długo będą traktowane jako niemieckie, aż sprawa granic nie zostanie ostatecznie uregulowana w traktacie pokojowym, podpisanym z Niemcami jako całością. Nawet dwaj ministrowie w rządzie kanclerza Helmuta Kohla oficjalnie kwestionowali traktat z 1970 r. Kanclerz Kohl wprawdzie sam takiego stanowiska ani nie reprezentował, ani go nie aprobował, jednakże pozostawił tę sprawę biegowi losu, a w 1990 r. unikał jednoznacznej wypowiedzi w sprawie granic. Zwlekał z tym aż do momentu, gdy to wobec różnych wypowiedzi padających z szeregów własnej partii stwierdził: „jesteśmy zmuszeni uznać tę granicę, w przeciwnym bowiem razie zjednoczenie Niemiec nie powiedzie się”.

W 1970 r. kanclerz W. Brandt zabiegał o porozumienie z Polską, kanclerz H. Kohl w 1990 r. musiał poprzeć swe działania polityczne argumentem narodo-

wym tak, aby uzasadnić tę narodową stratę. Podpisany przez niego traktat polsko-niemiecki w wymiarze politycznym nie znaczył nic więcej jak tylko to, iż partie chadeckie nadrobiły zaległości w sprawie granic, jakie miały wobec innych niemieckich partii politycznych, łącznie z większością społeczeństwa niemieckiego, która dawno już to uczyniła.

4. Ponieważ byłe wschodnie tereny Niemiec miały pozostać na zawsze polskimi, logika i humanistyczne potraktowanie tego faktu wymagały, aby Niemcom mieszkającym jeszcze w Polsce, gdyby tylko wyrazili taką wolę, umożliwić wyjazd do Niemiec. Jednakże przywódcy polscy próbowali, jak długo to tylko było możliwe, utrudniać czy wręcz sabotować wyjazdy. Tak więc również i w tej sprawie nie obyło się bez rozbudzania – jak się wydaje – niepotrzebnych emocji. Strona polska ciągle miała przed oczyma problemy związane z mniejszością niemiecką okresu międzywojennego, gdy to mniejszość ta stanowiła zarzewie wiecznych sporów i utarczek, z drugiej zaś strony nie chciała dostrzec faktu, że ludność narodowości niemieckiej nadal zamieszkiwała w Polsce. Z kolei Niemcy z RFN nie mogli zrozumieć i zaakceptować faktu, że w Polsce nie pozwala się, aby Niemcy czuli się i byli Niemcami. Już w samym zarodku spór ten wydawał się nie do rozstrzygnięcia. Ponieważ Niemcy i Polacy byli w dużym stopniu z sobą silnie spowinowaceni i powiązani, trudno było dokonać jednoznacznego etnicznego lub językowego rozróżnienia, a tym bardziej na podstawie ich typowych cech i tożsamości narodowej.

Tak więc to, co nakazywał zdrowy rozsądek i humanitaryzm, stało się obiektem przetargowym rządów obydwu narodów. Do tego doszły jeszcze żądania polskich ofiar faszyzmu związane z odszkodowaniami i zadośćuczynieniem. Ostatecznie stosunki pomiędzy Polską a Niemcami urosły do rangi handlu – pieniądze za ludzi. Nikt wprawdzie z tego faktu nie był dumny, ale wszyscy wydawali się być zadowoleni z możliwości wykazania się aktywnością na drodze pojednania. Republika Federalna wysoką liczbą przesiedleńców dokumentowała skuteczność polityki wobec Polski, Warszawa zaś zadowolona była z napływu twardej waluty.

5. Okres zimnej wojny jeszcze bardziej komplikował ten stan rzeczy. Polska jako kraj znajdowała się w sferze wpływów radzieckich, większa i zasobniejsza część podzielonych Niemiec pozostawała w sferze wpływów zachodnich. W Polsce sprawowała rządy pseudokomunistyczna, autorytarna elita partyjna, Republiką Federalną Niemiec administrowały rządy o charakterze demokratycznym. Zarówno Bonn, jak i Warszawa zmuszone były do dyscypliny i solidarności systemowej, zatem posiadały ograniczone możliwości manewru ponad ustanowioną granicą pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Istnienie dwóch państw niemieckich także w znaczny sposób ograniczało możliwości działania wszystkich zainteresowanych stron. Warszawa znajdowała się pod stałą, pełną nieufności obserwacją ze strony zaprzyjaźnionej z nią NRD, która systematycznie denuncjowała Polskę w Moskwie, mówiąc o jej skłonnościach prozachodnich, czyli o tzw. zwrocie na Zachód. Jakikolwiek polski krok w kierunku

Bonn wymagał również odpowiednich działań wobec Berlina Wschodniego. Z kolei Bonn i Berlin Wschodni konkurowały, jeśli idzie o politykę wobec Polski, a mówiąc nieco dosadniej, wzajemnie ją sobie utrudniały. Kierownictwo polityczne NRD, obawiając się gospodarczej atrakcyjności Republiki Federalnej, próbowało utrudniać, jak tylko to było możliwe, stosunki polsko-zachodnioniemieckie; Republika Federalna zaś otwarcie wykorzystywała swoją przewagę i siłę ekonomiczną.

Jednakże przez okres dwudziestu lat, tzn. do zainicjowania „polityki wschodniej” kanclerza W. Brandta, RFN ograniczona była w swych działaniach, ponieważ nie uznawała nie tylko granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, ale również NRD. To z kolei zbliżało Warszawę i Berlin Wschodni w ich polityce wobec Bonn. Wprawdzie przywódcy Polski i Niemiec Wschodnich: Władysław Gomułka i Walter Ulbricht nie znosili się wzajemnie, jednakże „rozsądek państwowy” zmuszał ich do współpracy.

Mimo tych wszystkich przeciwności wydawało się, że zgodnie z rozsądkiem lub potrzebami można było znacznie więcej zrobić na rzecz współpracy między tymi trzema państwami, i to nie tylko w sferze stosunków politycznych, ale na przykład w zakresie ułatwień komunikacyjnych, jednak nic w tej dziedzinie nie uczyniono. W Warszawie bowiem obawiano się wspólnej gry dwóch państw niemieckich wobec Polski, w Bonn zaś dostrzegano niebezpieczeństwo wynikające z istnienia koalicji dwóch państw komunistycznych wymierzonej przeciwko związanej z Zachodem Republice Federalnej Niemiec. W Berlinie Wschodnim z kolei obawiano się milczącej współpracy dwóch pozostałych partnerów, uchodzących za bardziej liberalnych niż dogmatyczno-komunistyczna *SED*.

6. Obraz stosunków dwustronnych został też zdeformowany przez nieporozumienia, których skutki odczuwane są do dzisiaj. W Republice Federalnej istniało przekonanie, że podchodzi ona rzeczowo i bez uprzedzeń do sprawy pojednania, podczas gdy Polacy kierują się zdeformowaną ideologicznie świadomością. W rzeczywistości jednak kwestia ta wyglądała zupełnie inaczej. To właśnie Polacy myśleli kategoriami historycznymi, zaś Niemcy Zachodni głównie ideologicznymi. Obie strony myliły się całkowicie w swych poglądach. Polacy sądzili, że w Niemczech Zachodnich powielany jest schemat republiki weimarskiej i narodowego socjalizmu: najpierw roszczenia wobec ziem polskich, a później atak na Polskę. Dla pokolenia Polaków, i tak już obciążonego przykrymi doświadczeniami z przeszłości, ponownie na horyzoncie jawiły się niebezpieczne znaki, a więc dawni faszyci piastujący wysokie stanowiska państwowe, odraczanie procesów zbrodniarzy wojennych – wszak dopiero w latach 60. oprawcy z Auschwitz i Majdanka zostali postawieni przed sądem. Obraz dopełniały wypowiedzi niektórych działaczy Związku Wypędzonych; żądania prawne sięgały czasami aż do granic absurdu: naziści niemieccy tak często łamali prawo, dlatego więc obecnie Niemcy mieliby ostatecznie zrezygnować z praw do prowincji wschodnich. Nieufność wzbudzała także nowo tworzona armia zachodnioniemiecka, która miała stać się najsilniejszą w Europie Zachodniej i być może dysponować bronią atomową.

W Warszawie, podobnie, jak i w pozostałych stolicach bloku Europy Wschodniej, nie dostrzegano tego, że polityka Bonn koncentrowała się wyłącznie na Europie Zachodniej, wobec wschodniej części tego kontynentu – poza deklaracjami słownymi – występowała raczej obojętność. W Polsce nie wierzano, że problem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej stanowi bardziej jeden z elementów taktyki partyjnej w ramach polityki wewnętrznej, niż ważny cel polityki zagranicznej, nawet w ramach polityki wschodniej rządu bońskiego. Tylko nieliczni, zajmujący się bliżej tą problematyką, dostrzegali owe rzeczywiste podłoże stosunków polsko-niemieckich, tym bardziej że istota ta tkwiła nie – jak powszechnie sądzono – w niemieckim parciu na Wschód, lecz w nietypowej dla Niemców obojętności wobec tego problemu. Taki to właśnie stan rzeczy stwarzał niemalże modelowe nieporozumienie w pojmowaniu i podejściu do tego zagadnienia. Zachodnio-niemieccy krytycy zarzucali kanclerzowi Konradowi Adenauerowi, że odwrócił się plecami do Wschodu, Polacy z kolei traktowali go jako rycerza zakonu niemieckiego w drodze na Wschód; i tak na przykład propagowany w całej Polsce jeden z plakatów przedstawiał zdjęcie Adenauera w płaszczu zakonu krzyżackiego. Musiało upłynąć wiele lat, aby w Polsce, z małymi wyjątkami, zaczęto na serio traktować bońską demokrację i wierzyć, że Republika Federalna Niemiec to nie jest to dawne, niebezpieczne dla sąsiadów państwo.

Podobny proces miał miejsce w Republice Federalnej, gdzie musiało upłynąć wiele czasu zanim zrozumiano, również i tutaj z małymi wyjątkami, że sprawujący władzę w Polsce komuniści, byli – przynajmniej od 1956 r. – najpierw Polakami, a dopiero później komunistami, jeżeli w ogóle takimi się czuli. Przez wiele lat w RFN istniało przekonane, że Europa Wschodnia stanowi rodzaj „monolitycznego” bloku bez możliwości politycznego manewru w którejkolwiek z jego części, bloku, w którym rządy sprawują zawodowi rewolucjoniści opętani wizją światowej rewolucji. Dostrzegano wprawdzie pewne pozytywne symptomy w zakresie swobód obywatelskich, ale zazwyczaj z założenia wątpiono w nie. Kanclerz K. Adenauer stwierdził w 1956 r., że pokojowe zachowanie komunistów z reguły nie wróży nic dobrego. Z uwagi na to, że w zasadzie do lat 70. wszelkie kontakty osobiste były bardzo utrudnione, to po obydwu stronach granicy utrzymywały się stare przesady i głęboko zakorzenione uprzedzenia. Tym większe było później zaskoczenie dla obu stron, gdy wzajemne wizyty oraz kontakty dostarczały i malowały zupełnie odmienny obraz strony przeciwnej. Jeden z polskich dziennikarzy, który doświadczył okropności Auschwitz, udając się po raz pierwszy do Republiki Federalnej w 1973 r., był pełen obaw, jednak po powrocie z ulgą stwierdził: „Oni przechodzą przez ulice na czerwonym świetle”.

Wprawdzie pomiędzy towarzyszami, sprawującymi władzę w Polsce i w NRD, było mniej niedomówień, jednak występowała między nimi silna sprzeczność interesów. Komuniści polscy byli zmuszeni do myślenia w kategoriach narodowych, wschodnio-niemieccy zaś głównie w kategoriach internacjonalizmu. Władysław Gomułka i jego następcy w swej polityce musieli brać pod uwagę naród, jego

wartości, dążenia i tradycje; stąd też nie udało się im nigdy podporządkować Kościoła, kultury i rolnictwa. Z kolei dla wschodnioniemieckiej *SED* ideologia stanowiła niezbędne instrumentarium legitymizujące istnienie państwa enerdowskiego. Polska, niezależnie od tego kto nią rządził, była nadal Polską, Niemiecka Republika Demokratyczna tak długo mogła istnieć jako państwo, jak długo stanowiła jako państwo o charakterze komunistycznym przeciwwagę i przeciwieństwo wobec Republiki Federalnej. W opinii Polaków towarzysze spod znaku *SED* uchodzili za niebezpiecznych dogmatyków ideologicznych, którzy w sojuszu z Moskwą zamierzali ograniczyć i tak już okrojona polską wolność. Natomiast w oczach członków *SED* polscy towarzysze uchodzili za niebezpiecznych rewizjonistów, których poczynania stanowiły zagrożenie zarówno dla czystości teorii marksistowsko-leninowskiej, spójności obozu socjalistycznego, jak i dla samego istnienia państwowości enerdowskiej. Gdy w Polsce powstała i została zalegalizowana „Solidarność”, w Berlinie Wschodnim trąbiono na alarm, a przywódca NRD Erich Honecker domagał się zbrojnej interwencji w Polsce. Tym samym NRD odcinała się od swego wschodniego sąsiada, podobnie jak wcześniej stało się wobec sąsiada zachodniego.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na ważny fakt. Otóż w przekonaniu większości społeczeństwa polskiego NRD jako państwo stanowiła niejako uosobienie tych najmniej sympatycznych niemieckich cech i cnót narodowych. Mój wieloletni warszawski przyjaciel nigdy nie odwiedził mnie w Berlinie, ponieważ – jak twierdził – nie był w stanie znieść tonu i formy traktowania go przez enerdowskie służby graniczne. Jako nad wyraz niemieckie jawiły się Polakom takie cechy charakteru, jak zarozumiałość i niczym nie uzasadniona arogancja; żaden wschodnioniemiecki komunista nie posiadał w sobie wielkości kanclerza W. Brandta, który klękając przed pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego nie tylko oddał hołd jego bohaterom, ale symbolicznie przejął na siebie cały ciężar winy i odpowiedzialności Niemców za ich czyny. Chociaż sam – jako Niemiec – nie mógł sobie niczego zarzucić. Tak więc W. Brandt chylił czoło w imieniu Niemców, natomiast kierownictwo *SED* nie poczuwało się do jakiegokolwiek gestu w tej sprawie. Tym samym próbowało uniknąć odpowiedzialności, wymknąć się niemieckiej przeszłości, bowiem – jak twierdzono – kierownictwo *SED* wyciągnęło właściwe wnioski z tej przeszłości i to dawało mu niejako prawo, aby zaliczyć się do „zwycięzców historii”. Nigdy nie zapomnę sytuacji, jakiej danym mi było być świadkiem: lekko podchmielony, bardzo oddany partii polski dziennikarz został pozdrowiony przez jednego z redaktorów enerdowskiego dziennika „Neues Deutschland”, ten jednak udał, że nie poznaje swego niemieckiego kolegi po fachu. Dopiero natarczywie nagabywany przez niego, wykrzyknął: „ach tak, zwycięzca historii”. Następstwa ówczesnych sporów partyjnych pomiędzy Polską a NRD odczuwalne są zresztą do dzisiaj.

Kadra enerdowskich komunistów należała do tej grupy Niemców, która była prześladowana przez reżim faszystowski, dlatego uważała, że to dzięki niej w NRD

zlikwidowany został faszyzm, a swoją niewinność przenieśli na rządzone przez siebie państwo. Poczucie winy, odpowiedzialność za wojnę i zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy, a więc cały balast niechlubnej przeszłości, który stanowił istotę sporu między Niemcami Zachodnimi a Polską, dla wschodnioniemieckiej *SED* nigdy nie stał się przedmiotem dyskusji, nie stanowił również problemu dla większości obywateli NRD. Wprawdzie niemieccy działacze partyjni spotykali się z towarzyszami partyjnymi z PZPR, a zwykli obywatele z towarzyszami losu po tej drugiej stronie granicy, co prawda mówiono poprawnie Wrocław, a nie Breslau, ale bardzo mało miejsca pozostawało na myślenie i wspomnienia o cierpieniach, jakie jeszcze nie tak dawno Niemcy zadali Polakom. Bardzo negatywnie zabarwione określenie *Polacken* znane było również w wyższych kręgach partyjnych, a dowcipy o Polakach, jakie krążyły po NRD w następstwie polskiej gorączki zakupów w 1972 r., potwierdzały trwałość niechęci Niemców do Polaków.

7. Trudno nie dostrzec, jak bardzo polityka wewnętrzna poszczególnych państw utrudniała osiągnięcie prawdziwego porozumienia, a przez długi czas nawet je skutecznie blokowała. Przynajmniej od połowy lat 50. większość polityków zachodnioniemieckich była świadoma faktu, że Odra i Nysa Łużycka pozostaną wschodnią granicą Niemiec. Kanclerz K. Adenauer był szczęśliwy, że to nie on musi pertraktować w sprawie granic, zaś ówczesny minister spraw zagranicznych Heinrich Brentano zwierzył się Stanisławowi Stommie, że Niemcy Zachodnie nie mogą przeskoczyć własnego cienia. Żadna z partii politycznych Republiki Federalnej Niemiec niemalże przez dwadzieścia lat nie była w stanie tego uczynić. Żadna z nich nie odważyła się też zrezygnować z głosów przesiedleńców. Ich przywódcy przez czterdzieści lat, aż do lata 1990 r., świadomie i planowo zakłócali proces normalizacji stosunków z Polską. Ich obecna przewodnicząca Erika Steinbach czyni tak do dziś.

Wszelkie próby zbliżenia z Polską wymagały przełamania oporu nie tylko ze strony działaczy Związku Wypędzonych, a do 1982 r. – początku rządów Helmuta Kohla – także ze strony silnej opozycji *CDU/CSU*. Z uwagi na politykę wschodnią rząd Willy'ego Brandta/Waltera Scheela utracił większość w niemieckim *Bundes-tagu*. To, co w Polsce uznawano za niemiecki rewanżyzm, w praktyce było jedynie polityczną bezradnością. Ziemi na wschód od Odry zostały utracone i faktu tego nie można było zmienić, jednakże trudno było pogodzić się z utratą tak znacznej części terytorium; nawet Niemcom przyjaźnie nastawionym do Polski i Polaków z największą trudnością przyszło pogodzić się z tym – bądź co bądź – przykrym stanem rzeczy, że ich strony rodzinne pozostaną w polskich rękach. Jednakże była to szczerza i otwarta pozycja.

Groźniejszy był natomiast zabarwiony antykomunizmem nacjonalizm – z narodem polskim można się porozumieć, jednak nie jest to obecnie możliwe, ponieważ rządzą tam komuniści. Nikt w Bonn tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi – Niemcy karali bowiem Polaków za to, że z powodu Hitlera i rozpętanej przez niego wojny to właśnie oni zafundowali Polakom tychże komunistów.

Komuniści zaś wiedzieli, że strach przed Niemcami stanowi dla nich doskonały środek umożliwiający utrzymanie się przy władzy: tylko bowiem przyjaźń ze Związkiem Radzieckim gwarantowała skuteczną obronę przed zakusami ze strony bońskich rewanżystów, a niezbywalnym nośnikiem tej przyjaźni była rządząca partia komunistyczna. W Polsce, podobnie zresztą jak i w Republice Federalnej Niemiec, w tym okresie aktywnie działały siły o dość znaczącym zapleczu politycznym, które celowo podsycaly dawne obawy i uprzedzenia, a w razie potrzeby kreowały nowe zagrożenia. Tak więc zarówno Herbert Hupka, jak i Herbert Czaja posiadali swych odpowiedników między Odrą a Bugiem. Na łamach pism i periodyków spod znaku wypędzonych jakże często drukowano to, czego prawicowi politycy zachodnioniemieccy nie odważyliby się powiedzieć publicznie. Korespondenci polscy, akredytowani w Bonn, przekazywali do Warszawy, że stwierdzenia typu „Śląsk jest nasz” to opinia powszechna w RFN. Przeciwnicy porozumienia z Polską działali bardzo skutecznie i aczkolwiek ich działania nie były odgórnie koordynowane, to jednak można było odnieść zupełnie inne wrażenie.

Decydującym i zmieniającym wszystko wydarzeniem politycznym było powstanie i legalizacja „Solidarności”. Teraz bowiem miano do czynienia nie z jedną tylko Polską – „Polską władzy”, która coraz bardziej słabła, ale z Polską członków i sympatyków „Solidarności”. Wprawdzie stan wojenny w Polsce na pewien czas zmienił ten obraz, jednak utrzymał podział społeczeństwa na wiernych reżimowi oraz na opozycję. To zrodziło nowe problemy, które zepchnęły na dalszy plan sprawy dotyczące bezpośrednio stosunków polsko-niemieckich. Obecnie chodziło o wolność i władzę. Rząd i opozycja chętnie gościły tylko tych Niemców, którzy opowiadali się po ich stronie. Żadna inna opcja nie miała racji bytu.

Kierownictwo NRD nie ufało nawet gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu i domagało się użycia siły dla przywrócenia starego porządku komunistycznego. Z kolei większość społeczeństwa wschodnioniemieckiego bardziej z nieukrywaną troską niż demonstrowaną radością śledziła przebieg wydarzeń w sąsiednim kraju, podobnie zresztą jak społeczeństwo Czechosłowacji czy Węgier. Bolesne doświadczenia z 17 czerwca 1953 r. w NRD, powstania węgierskiego z 1956 r., czy też „praskiej wiosny” z 1968 r. ostrzegały przed nadmierną euforią, uświadamiając jednocześnie, że w sytuacjach kryzysowych dla partii z reguły pojawiają się radzieckie czołgi, a dla całej moskiewskiej strefy wpływów nadchodzą gorsze czasy. Sądzono więc, że Polacy nieco przesadzają, narażając tym samym i tak niewielki margines wolności, jaki udało się wywalczyć.

Spółeczeństwo zachodnioniemieckie, zarówno naród, jak i jego klasa polityczna, wahało się między podziwem a obawą. Polacy stali się tak bardzo popularni, jak nie byli od czasów powstania listopadowego z 1830 r., pomoc ze strony osób prywatnych dalece przewyższała retoryczne wsparcie ze strony innych państw zachodnich. Politycy wszystkich partii obawiali się jednego, czy nie powtórzy się *casus* Węgier lub Czechosłowacji. W Bonn zadawano sobie również pytanie, czy

wprowadzenie stanu wojennego nie stanowi lepszego rozwiązania od okupacji radzieckiej. Jaruzelski uważany był za patriotę, Mieczysław Rakowski za zwolennika reform, a sam socjaldemokratyczno-liberalny rząd opierał się amerykańskiej polityce sankcji gospodarczych wobec Polski, próbował też nie zrywać kontaktów z Warszawą, nie doceniając jednakże siły „Solidarności”. Wizytujący Warszawę głównie przedstawiciele *SPD* często stwarzali drażliwe sytuacje, spotykali się bowiem z autorami stanu wojennego, zaś walczącą o wolność opozycję demokratyczną pomijali. Fakt ten jeszcze obecnie głęboko tkwi w świadomości społecznej Polaków, gdyż oznacza rozczarowanie wobec socjaldemokratów, od których spodziewano się znacznie więcej wsparcia i sympatii dla idei „Solidarności” niż od innych partii.

Niezwykle trudno jest zbilansować stosunki polsko-niemieckie lat 80., można jedynie stwierdzić, że relacje te wobec zaistniałych okoliczności bardzo ucierpiały, choć z drugiej strony wzrosło – jak nigdy przedtem w XX wieku – zrozumienie Niemców dla aspiracji Polaków.

8. Trzeba także wziąć pod uwagę tradycyjne różnice między Polakami a Niemcami. Zarówno Polacy, jak i Niemcy zwracali się ku Zachodowi. Ci pierwsi po drodze napotykali Niemców, którzy z kolei odwracali się do nich plecami, spoglądając na Francuzów. Najlepiej pokazać to na zupełnie prostym przykładzie: gdy Niemiec próbuje wymówić nazwę miasta Bordeaux jako „Bor-de-auks”, zostaje przez Francuzów wyśmiany; z kolei, gdy wymawia Łódź nie jak „Lodsch”, lecz w miarę poprawnie, Polacy go nie rozumieją. To niewielkie wzajemne zainteresowanie dzieli nas od stuleci i również w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat przeszkadzało nam znacznie bardziej, niż zdajemy sobie z tego sprawę.

Nie było łatwo usunąć przeszkody, jakie pojawiły się na drodze zbliżenia polsko-niemieckiego. Były to: niemiecka polityka wyniszczenia i zniewolenia narodu polskiego, polskie wysiedlenia i utrudnianie przesiedleń, granica na Odrze i Nysie Łużyckiej, odszkodowania, zimna wojna i przynależność do różnych systemów, nieporozumienia podstawowe i zasadnicza sprzeczność interesów, wewnętrzne utrudnienia i zakłócenia, niemieckie ukierunkowanie na Zachód i brak zainteresowania Wschodem.

Wymieniam te wszystkie problemy, aby pokazać, jak bardzo trudnym, a nawet czasami prawie niemożliwym, był proces zbliżenia polsko-niemieckiego – zresztą znacznie trudniejszym dla Polaków niż dla Niemców. Po drugiej wojnie światowej właśnie Polakom było najtrudniej uzasadnić konieczność nawiązania normalnych stosunków z Niemcami. Traktat warszawski z 1970 r. stanowił jedynie punkt wyjścia do „normalizacji”; z perspektywy Polski zbliżenie było możliwe tylko etapami: normalizacja, porozumienie, pojednanie. Te trzy stopnie nigdy nie zostały zdefiniowane, a Niemcy, którzy pełni dobrej woli przyjeżdżali do Warszawy i tutaj przyjmowani byli z rezerwą, nie mieli pojęcia o rozmiarach tego, co należało pokonać na drodze do pojednania.

Przytaczam te fakty tylko dlatego, aby pokazać, jak wiele – pomimo tylu przeszkód – udało się osiągnąć. Traktat z 1970 r. był kluczem do porozumienia pomiędzy Polską a Republiką Federalną Niemiec. I to nie tylko w aspekcie gospodarczym! Kościoły, uniwersytety, szkoły, stacje radiowe, skłonne do pojednania ziomkostwa, pisarze, ludzie teatru, muzycy, zaangażowane w pojednanie osoby prywatne zrzeszone w licznych towarzystwach polsko-niemieckich, wszyscy oni szukali i znajdowali porozumienie z Polską. W czasie trudnych negocjacji profesorowie z Polski i Niemiec uzgadniali zalecenia, pozwalające usunąć z podręczników szkolnych treści nacjonalistyczne – a nie było to zadanie łatwe, bo po obu stronach wielu krytykowało te zalecenia. Pod koniec 1982 r. ukazała się drukiem książka o objętości 280 stron, będąca rejestrem tego, co udało się osiągnąć w zakresie „współpracy kulturalnej”, przy czym – jak podkreślał wydawca tej pracy Winfried Lipscher – wykaz ten nie obejmował wszystkich osiągnięć. Pod koniec lat 70. władze polskie – ku swej rozpaczy – utraciły kontrolę nad tym wszystkim, co działo się poza nadzorem państwowym. Ale od momentu otwarcia się na Zachód w Polsce udawało się niemal wszystko, należało jedynie wiedzieć, w jaki sposób działać lub z kim się kontaktować.

Owocowała także zalecona odgórnie przyjaźń między Polską a NRD, ponieważ umożliwiła kształtowanie tych prawdziwych więzi sympatii. Nie tylko grono partyjne, także nauczyciele, profesorowie, ludzie sztuki, pisarze, różnego rodzaju specjaliści nawiązywali kontakty i pielęgnowali je ponad wytyczonymi granicami. Z fachowego „doradztwa” rodziły się zażyte kontakty osobiste, zaś niewymienialność waluty skłaniała do wspierania się. Obdarzano się wzajemnie zaszczytami, a fakt otrzymania tytułu doktora *honoris causa* jednego z polskich uniwersytetów satysfakcjonuje niejednego Niemca z NRD do dzisiaj. Każda ze stron posiadała to, czego brakowało stronie drugiej. Niemcy Wschodni sprawiali dobre wrażenie i denerwowali Polaków swą skutecznością, z kolei Polacy imponowali posiadaniem zakresem wolności. Znalazło to doskonały wyraz w dowcipie o dwóch psach, które przepływając przez Odrę spotykają się. Zaskoczony spotkaniem jeden drugiego pyta, czego szuka po przeciwnej stronie. Pies z Polski mówi, że zamierza najeść się do syta, a ten z Niemiec – naszczekać się do woli.

Tak jak Karl Dedecius sprowadził literaturę polską do Republiki Federalnej, tak Henryk Bereska i wielu innych zbudowało mosty literackie pomiędzy Polską a NRD. Adam Krzemiński obserwował w latach 60. i 70. „polską falę” wśród pisarzy enerdowskich; Polskę odkrywali też ludzie sztuki, intelektualiści, osoby prywatne. Polska jawiła się im jako kraj, w którym wprawdzie panował ten sam system polityczny, jednakże było tutaj inaczej, łatwiej, spokojniej, nie było tego ogromnego respektu wobec władzy, dominacji ideologii, ale za to obecny był czynnik narodowy, co z zazdrością i niedowierzaniem odnotowywali obywatele NRD. Ci, którzy nie należeli do „kadry wyjazdowej” i nie mogli pojechać na Zachód, wybierali się zatem do Warszawy lub Krakowa.

To, co było pozytywne w stosunkach polsko-niemieckich w dziesięcioleciach poprzedzających rok 1990, należy przypisać trzem instytucjom. Przede wszystkim Kościołom, które daleko wyprzedzały politykę. Treść oświadczenia niemieckiego Kościoła ewangelickiego z 1965 r. wyraźnie odbiegała od oficjalnego stanowiska Republiki Federalnej. Przede wszystkim dostrzeżono losy obu narodów, uwzględniono zarówno niemiecki ból i rozgoryczenie z powodu utraty ziem, jak i polskie obawy o uzyskane ziemie na zachodzie kraju. Nie wypowiedziano się w sprawie granic, ale zmiany terytorialne widziano jako nieuniknione następstwo wojny. Również polscy biskupi, przełamując mur milczenia i stronniczości, w swym orędziu skierowanym do narodu niemieckiego wypowiedzieli najbardziej znamienne słowa, jakie kiedykolwiek padły między Polakami a Niemcami: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”.

Odpowiedź biskupów niemieckich była już mniej chrześcijańska, sformułowano ją bardziej dyplomatycznie, co też w konsekwencji spowodowało, że episkopat niemiecki swych polskich braci w biskupstwie naraził na złośliwe ataki ze strony władz partyjnych. Nie zmieniało to jednak w niczym faktu, że partia zrobiła to samo, co tak zaciekle zarzucała polskiemu Kościołowi. Tyle tylko, że uczyniła to pięć lat później, dogadując się z Republiką Federalną. Tadeusz Mazowiecki w 1970 r. ubolewał nad tym, że drogę do porozumienia z Niemcami w zasadzie wytyczyła Polska katolicka, którą jednak podpisując układ grudniowy całkowicie pominięto.

Drugą grupą, która wiele uczyniła na rzecz pojednania polsko-niemieckiego, byli polscy i niemieccy politycy. Mieli oni odwagę i wolę wzniesienia się ponad przeciętność, ponad opinię większości i krytyczne stanowisko opozycji, ponad dominującą ideologię. Działanie na rzecz interesów narodowych przeciwstawili korzyściom partyjnym i politycznym.

Wreszcie była rzesza osób prywatnych, które swój wkład w sprawę pojednania budowali przez dziesiątki lat poprzez żmudną, mrówczą pracę. Ich wysiłek skupiał się na tym, aby te nawet najokropniejsze doświadczenia z historii i głęboko zakorzenione uprzedzenia nie zdominowały obrazu stosunków polsko-niemieckich i nie zdeformowały całkowicie wzajemnego się postrzegania. Wprawdzie warunki dla zbliżenia narodów tworzy polityka, jednakże te najważniejsze przesłanki istnieją poza polityką. Tylko bowiem silna i w miarę gęsta sieć powiązań, znajomości i przyjaźni osobistych, budowana ponad granicami państw, pozwalała przejść przez te jakże trudne lata 80. To właśnie ci ludzie tworzyli podstawy, na których Niemcy i Polacy mogli bez obaw zbliżyć się do siebie. Obydwa narody zostały uwolnione spod ciężaru doświadczeń lat powojennych; sprawy granic, przesiedleń, odszkodowań wojennych znalazły w końcu swe rozwiązanie. Związek Radziecki, NRD, Układ Warszawski, zimna wojna, komunistyczny monopol władzy – to wszystko stało się historią.

Krzywdy, jakie Polacy i Niemcy wyrządzili sobie wzajemnie, pamięć o tym, a jednocześnie groźba ich politycznego zdyskontowania jednak nadal istnieją.

Wszystko to wprawdzie pokrywa cienka warstwa, cieńsza niż jesteśmy sobie w stanie to wyobrazić, ale brakuje nam nadal umiejętności spojrzenia w daleką przyszłość, a także zrozumienia, że sama polityka i gospodarka nie wystarczą, aby z Niemców i Polaków uczynić przykładowych sąsiadów. Wola podjęcia wspólnego wysiłku w tym kierunku jest ograniczona do niewielkiego grona osób. A bez szerszego zaangażowania niewiele da się zrobić, bowiem nawet czas nie zagoi wszystkich ran.

Tłumaczenie Zbigniew Szutczyński

ABSTRACT

The article discusses the history of Polish-German relations from 1939 to the present. The author presents in chronological order the stages of depolarization and normalization of relations between the two nations that have led up to their reconciliation. Even today, sixty-five years after the German aggression on Poland, it is important to remember the major obstacles that marked the way to rapprochement between Poles and Germans.

The author concludes that we still lack a farsighted awareness of the possible future developments, as well as discernment that mere politics and economy cannot make Germans and Poles exemplary neighbors. The will to work together towards this goal is only shared by some circles. However, a wider participation of the public is necessary if better mutual understanding is to be achieved, as even time cannot heal all the wounds of the past.